

# MINIATURE






GRZEGORZ ŻAK

## WOPISTA CZESŁAW

### Wopista Czesław i dni, których nie zna

- Takich dni żaden szanujący się Wopista Czesław nie zna. I tylko takie dni są ważne – wybełkotał Wopista Czesław, zaciekle, z pianą na ustach walcząc o nienaganną dykcję. Potem odstawił butelkę. Nie na zawsze. Raczej na chwilę.
- Za oknem szalała śnieżyca. Najprawdopodobniej. Jak ująłby to klasyczny radiowy sprawozdawca sportowy: „szkoda, że państwo tego nie widzą”. Kilka dni temu do przytulnego domu Wopisty (którego lokalizacja pozostawała tajemnicą nawet dla Poliszynela) wpadła wiewiórka. Przez okno. Wpadła bez zapowiedzi i bez otwierania wspomnianego okna. Potem przez chwilę piszczała\*, otrzepując się z resztek szkła na dywanie i wyciągając łapki, wreszcie odeszła bez pożegnania\*\*. Dlatego w oknie Wopisty Czesława od kilku dni zamiast szyby czerniał kawałek płyty pilśniowej, co znacznie ograniczało wopistowski światopogląd i bardzo dobrze wpływało na pomroczną niejasność umysłu i na humor. Ten czarny, zwany też


 Marek Jawoszek

wisielczym. Szyba czekała na wstawienie w piwnicy, ale ostatnimi czasy Wopista wolał wstawiać się sam. Sam za sobą. Bez kitu. Taki stan fachowcy (a przecież wszyscy nimi jesteśmy) nazywają, zależnie od stopnia rozpoetyzowania: schizą, depresją, dołkiem, nostalgią, albo jesienną zadumą. Dopada z tak zwanego nienacka, a najbardziej znane lekarstwo dostępne jest w większości polskich miast i miasteczek przez 24 godziny na dobę nawet w niedziele i święta. Zwłaszcza w niedziele i święta, zważywszy na niezbyt jasne, acz bezbłędnie działające prawa podaży i popytu. Szkopuł w tym, że Izerbejdzan zawsze rządził się własnymi prawami, a do sklepu było naprawdę daleko. Wopista spojrzął z rozrzewnieniem na ostatnie krople lekarstwa.

- Lato – mruknął zupełnie nie a'propos – Ech lato... Lato tego roku było w środę. Kiepsko, bo przegapiłem. W Gryfowie byłem na szkoleniu...

Potem był sen. Głęboki i pełen kolorowych wizji. A także samooczyszczającej świadomości, że pokazanie słabości quasi-literackiego bohatera dodaje jego postaci realizmu i ostrości, zwłaszcza w chwilach, gdy on sam jest mocno niewyraźny. To były dni, których naprawdę żaden szanujący się Wopista Czesław znać nie powinien. Ba, żaden człowiek nie miał obowiązku zaliczyć ich jako przedmiotu obowiązkowego w wielkim egzaminie z życia. Ale Wopista Czesław nigdy nie siedł na łatwiznę, uwielbiał zadania z gwiazdką, zwłaszcza te bez odpowiedzi na końcu. Słowa „nie powinien” bynajmniej go nie odstraszały, a poza tym, last but not least, Wopista Czesław nie należał bynajmniej do „się szanujących”.

Potem było powstanie. Jedno z niewielu zwycięskich w historii narodów środkowej Europy. Jego sukces opierał się, parado-

\* Tak naprawdę pisk ów oznaczał w przestępczym wiewiórczym slangu: „oddawaj wszystkie orzechy frajerze, bo w zęby”.

\*\* Nieprawda. „Phwiiiwk” to w przestępczym wiewiórczym slangu „nara frajerze, bo w zęby”.

ksalnie, na braku amunicji. Co prawda Wopista cierpiąc niewątpliwe katusze pragnął bezmyślnie zepsuć wszystko, co osiągnął, i strzelić sobie jednego, ale status quo uniemożliwiał mu to skutecznie.

Potem było otwarcie na świat. Przez pustą przestrzeń między belkami framugi wpadły promienie zimowego słońca. Ból głowy mijał powoli, oczy jeszcze wolniej przyzwyczały się do nadmiaru jasności. Zbawienna wilgoć studziennej wody napełniała wysuszone zbyt dużą ilością innych napojów komórki ciała. Wieczorem Wopista wstawił szybę. Spojrzał na migający nad grudniowym Izerbejdżanem Gwiazdozbiór Niepowtarzalny i ugryzł kanapkę z serem. Po raz pierwszy od wielu dni bez większego obrzydzenia. Otworzył okno.

– Jestem zdrowy!!! – krzyknął w noc.

A echo, nauczone doświadczeniami ostatnich dni, odpowiedziało z przyzwyczajenia:

– Mać... mać... mać...

## Wopista Czesław i patrol metafizyczny

Są takie rzeczy na niebie, na ziemi i mniej więcej pomiędzy – w Izerbejdżanie, o których nie śniło się filozofom, operatorom wózków widłowych ani nawet Zygmunutowi Freudowi. Bywa, że magia przelewa się przez szczeliny w wymiarach i przenika do codziennej rzeczywistości. W dni robocze, niedziele i święta. W soboty do czternastej.

\*

– Tu jest magicznie – powiedziała Turystka wkładając w tę wypowiedź taką porcję egzaltacji, jaka tylko może zmieścić się pomiędzy czarno-trwałą fryzurą a czerwonymi botkami na obcasie.

– I zimno trochę – dodał Turysta dolewając chłodną kropelkę trzeźwości do ogarniającej jego towarzyszkę Nieodpartej Poezji. Kropelka nie wystarczyła, by ugasić ogarniającą czarną głowę pożogę.

– Ale jak magicznie! I czarodziejsko.

Powszechnie wiadomo, iż Nieodparta Poezja jest zaraźliwa i objawia się Nieco Nieadekwatnym Zachwytem:

– To prawda, magicznie – pokiwał głową Turysta i poprawił marynarkę. Już na pierwszy rzut oka widać było, że był bardziej odporny na Nieodpartą Poezję, co nie znaczy, że nie ulegał jej działaniu. Na to nie ma mocnych. Zwłaszcza, gdy w porannym czerwcowym Izerbejdżanie trwała wojna mgły ze słońcem – o panowanie tego dnia w formie pogody. Po stronie słońca opowiedział się wiatr, przeganiając smugi mgły w tę, ewentualnie w te, a czasami z powrotem. Mgła nie ustępowała, mając mgliste pojęcie o traktatach pokojowych (nie mówiąc już o traktatach kuchennych, o których mało kto wie cokolwiek) czy o tak zwanym kompromisie. Póki co trwała chwiejna równowaga, cios oddawał cios, gwałt się gwałtem odciskał i o poddaniu się nie było mowy.

– Magicznie – powtórzyła Turystka i nabrała w płuca kilka garści niezwykle świeżego, choć mglistego, powietrza. Takie powietrze przy ataku Nieodpartej Poezji działa na niewinne ciało jak środek z grubsza rzecz biorąc niewskazany przez AA czy Monar. – Dzień dobry! – odezwał się Głos, wybrawszy najbardziej zniekackowy moment. Głos idealnie wpasowywał się w panującą wokół atmosferę ogólnej ulotności – Bileciki metafizyczne do kontroli!

– Dzień dobry – odpowiedziała Turystka, pobijając nieoficjalny rekord świata w naegzaltowaniu powitania. – Co do kontroli? – odpowiedział Turysta nie pobijając żadnego rekordu.

– Bileciki metafizyczne – powtórzył uprzejmie Głos dobiegając powoli spod drzew. Turyści spojrzeli w tamtym kierunku. W siłującej się z wiatrem mgłę stała postać opatulona zieloną peleryną. Twarz była spowita zielonym kapturem, a całość wyglądała tak wiarygodnie, jak wygląda dowolny obiekt w pulsującym magią krajobrazie. Na przykład żyrafa.

– Znaczący, że metafizyczne? – upewnił się Turysta – No to my nie mamy.

– Cztery pięćdziesiąt – odezwał się Głos, trochę bardziej metalicznie, acz nie mniej

- rzeczowo niż poprzednio.
- Mamy dziesięć złotych – przy ataku Nieodpartej Poezji podawanie banknotu może wyglądać jak balet. I tak wyglądało teraz. Prawie. – Też może być – powiedział Głos, wyciągnął rękę i schował pieniądze do kieszeni peleryny. – No a reszta...? A bilety...? – Turysta miał pewne wątpliwości. – Bilety są metafizyczne – rozwiął je Głos – A reszta? Reszta jest milczeniem... Do widzenia.

\*

- Wopista Czesław odwiązał przymocowany do wewnętrznej strony obfitego kaptura blaszany kubek.
- Wynalazek – mruknął, potem przyłożył kubek do ust i powtórzył Głosem – Wynalazek... To się powinno nazywać emaliowaniem przekazu werbalnego
- Rozejrzał się po lesie, poklepał po kieszeni i zagaił teatralnie:
- A teraz w sposób fizyczny udam się na metę do Babci Wiewiórkowej i nabędę pewną pojemność baśniowości. No to na miejsca, gotowi, start i byle do mety.

\*

- Tu jest magicznie – Turystka z zapartym tchem obserwowała mgłę przeciskającą się między pniami świerków. – Metafizycznie – dodał Turysta.

## Wopista Czesław i trzecie ucho Melchiora

Melchior pił wszystko – dlatego, że wszystko piło Melchiora. To był prosty i wyjątkowo sprawiedliwy (zwłaszcza na pierwszy rzut oka) układ zależności pomiędzy jednostką a światem, a także odwrotnie. Dziś Melchior wędrował – w sposób zupełnie niecodzienny, gdyż na własnych nogach, a nie, jak zwykle, gdy odbywało się to na skrzydłach wyobraźni, z napędem w postaci wysokooktanowego paliwa\*. Polana Izerska była skąpana w słońcu.

Melchior też. Nawet mu się podobało. Z tym, że mocno parował, tym razem nie tylko z głowy, co przypominało mu o silnie ludzkiej potrzebie uzupełniania płynów. „W taki upał to nawet asfalt wchodzi” – pomyślał Melchior z rozrzewnieniem, po czym dokończył myśl rozsądnie i zwracając uwagę na aspekty zdrowotne – „Oczywiście po lekkim rozcieńczeniu”. Piły go buty, koszula pod pachami i beret trochę wyżej. „Zemsta” – uśmiechnął się Melchior i wyciągnął niewielką buteleczkę. Odkręcił. W powietrzu zapachniały brzozy. – Ciekawe dlaczego nie ma wody świerkowej, albo wody topolnej, albo palmowej – zastanawiał się Melchior na głos patrząc na etykietę szlachetnego trunku. To było jego małe zupełnie nieszkodliwe przyzwyczajenie – zawsze oglądał etykiety po spożyciu – do momentu, w którym wszechświat zaczynał zlewać się w jedną całość. Potem wyrzucał butelkę w kierunku zlewającej się całości podświadomie badając jej konsystencję. Tak było i teraz. Butelka pofrunęła na trawę.

- Podnieś! – zabrzmiał nagle głos w formie bardzo wyraźnej sugestii. Dobiegał Skądś. Z całości.

„No, nieźle dzisiaj kopie, wiedziałem, że nie ma to jak górskie powietrze. Warto było się tu tarabanic” – zdążył pomyśleć Melchior i uśmiechnął się do wszechświata. Coś zaświszczało w powietrzu. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Potem Melchior poczuł ukłucie w ucho. Złapał się za nie, poczuł lepką wilgoć. „Wszechświat zlewa się w jedną całość” – pomyślał bardzo powoli i jakby z oddali (widział kiedyś takie myślenie w jakimś filmie o narkomanach, spodobało mu się i się nauczył). Po chwili sam przyłączył się do ogólnego zlewania się w całość. Zaczął od pobliskiego świerka. Zjednoczył się z nim niemal zupełnie. Zbratał się. Nawet pozwolił sobie, choć bez wcześniejszych ustaleń, zmieszać krew z jego żywicą. „No nie, zabiłem go!” – pomyślał Wopista Czesław, patrząc na zalanego krwią Melchiora obejmującego dorodny świerk. Wopista odrzucił łuk i spr-

\* To klasyczny przykład życiowej metafory, porażającej swą dosłownością. No i kosztami zwłaszcza przy ostatnio mocno zwyżkujących cenach ropy naftowej.



wdził puls. Potem bez namysłu zarzucił sobie pachnącego wodą brzożową delikwenta na plecy i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku stolicy Izerbejdżanu – Chatki Górzystów.

\*

Babcia Wiewiórkowa i Wielka Księżna Izerska nie zadawały zbędnych pytań. Tylko te niezbędne:

- Coś ty zrobił, Czesiu?!
- Skąd on tu się wziął ?!
- Jak ty wyglądasz?
- Idź ręce umyj !

Z wyraźną przyjemnością pokrzykując na skulonego Wopistę jednocześnie z wielką wprawą przygotowywały się do skomplikowanej operacji. Wielka Księżna nawlekała nitkę, a Babcia Wiewiórkowa próbowała po kolei różnych nalewek ze swojej podręcznej torby. – Tha będzie dobhra – mruknęła nieco bełkotliwie – Do dezynsfenkcji. Powiec Czesiu, so się stało?

– No, rzucił tę butelczynę na ziemię, to go chciałem nastraszyć trochę – powiedział cicho Wopista Czesław – Strzeliłem raz ostrzegawczo w powietrze, potem drugi raz, a wreszcie chciałem tak blisko koło ucha... no i strzeliłem.

– Bardzo blisko nawet – pokiwała głową z jakimś uznaniem Babcia Wiewiórkowa.

– Z łuku strzały ostrzegawcze oddałeś Czesiu? – zdziwiła się Księżna Izerska z zupełnie niewyczuwalną ironią.

– Regulaminowo – zsalutował Wopista ciut niezgrabnie, zupełnie nie wyczuwając ironii. Babcia w dalszym ciągu badała buteleczki rozsiewając wokół woń przeróżnych ziółek na zupełnie takim samym czeskim spirytusie.

– Mogłaby babcia opisać te buteleczki wreszcie – w głosie Wielkiej Księżny było upomnienie.

– E – zbyła ją Babcia samogłoską – Do roboty. Melchior leżał na ławie w świetlicy i pachniał brzożami tudzież świerkiem. Naderwane ucho nie przestawało krwawić. Babcia Wiewiórkowa wzięła do ręki igłę i pewnym ruchem wbiła ją w skórę na policzku. Melchior ocknął się nagle.

– Co tu sze dzieje? So ją tu robie?

Babcia Wiewiórkowa nie zamierzała owijać w

niemalowane:

- Ucho ci przyszywamy, pijaku jeden ty! – wrzasnęła znieczulająco.
- Ucho? – zmarszczył czoło Melchior – A na chu... mi trzecie ucho?

\*

Nowa izerska legenda głosi, że na życzenie Melchiora przszyto mu w żądanym miejscu ucho. Było to stare ucho igielne, przez które swego czasu próbował przechodzić pewien zaczytany w Biblii wielbłąd. Przynajmniej taką wersję podał do wiadomości Melchiora Wielki Książę Izerski, do końca wypowiedzi zachowując poważny wyraz twarzy. Od tego czasu Melchior wyraźnie czuł, że ma w pewnym miejscu relikwię. A sikając, tajemniczo i jednocześnie podniosłe, pogrążony w religijnej ekstazie, patrząc w kierunku Nieskończoności wypowiadał jedno słowo dobrze korespondujące z rozbełtanym białkiem jego oczu. Tylko jedno słowo. „Słyszę”.

Legenda mówi, że naprawdę słyszał.





SZYMON KANTORSKI

## Rozdroże

zakodowane osiedle wydmuszki  
z betonu implanty trawy puste wózki  
na balkonach oczekują przyptywów

zanim meble odgonią echo od ścian  
i żyłki bezgłośnie pękają pod tynkiem  
minie jakiś czas uspokoisz krew

w równe miesięczne cykle jeszcze  
nie czas na dym po spalonych mostach  
dzwony dzwonki o pełnych godzinach

najbliższy kościół masz za pętlą  
tramwajową najbliższy sklep nawet nocą  
można uciec stąd jeszcze jest czas

masz swój zapach osobny krwioobieg  
a wszystkie rzeczy obrócone w nieład  
kiedyś wrócisz i wolno pozbierasz

## Aury

- *Adamowi*

żołnierze rozkopują rzekę tym razem  
wzdłuż nie wszere szpadle uderzają i fale  
potu na plecach stają się coraz bardziej hardzi  
lepiej tu niż w anzlu można ukradkiem zapalić  
zagryzając dym

a rosjanki w hotelach robotniczych malują usta  
potem idą wiankiem środkiem ulicy każda  
z nich ma imię którego nie zapomnisz  
choć w tym kraju prosto się zapomina takie  
rzeczy

pijemy za szybko bo wolniej się nie da zapomnieć  
pistolet przy głowie cyganie znów krzyczą na ulicy  
tamte drobne kobiety ciężą jak bilon w kieszeni  
wąz zwinięty w ogrodzie i jest ewa a jabłka opadają  
kręgami wokół drzew

ta mała dziewczynka urośnie ci w rękach będzie  
malowała paznokcie i biła się z chłopakami na pięści  
skaza krwi odcinki specjalne serce to start nigdy meta  
więc jakiś banał co prawda to prawda a prawda jest  
prawdziwa. prawda?

## Felipe calls Cristo

za(nim) zdołasz zaparkować  
zgodnie z zasadami feng shui  
dzieci wydrapią oczy kotom  
w pierwszej klasie

poranna dekompresja  
krew w winę

nie ma z kim nawet na allegro  
pod ypres puszczają obłoki speedu  
opłatek o smaku placebo  
przyjmujesz jeszcze jakieś

komunika(n)ty?



MARIUSZ KARGUL

## BZYKU. HOOYKOO

### Bzyku

Na połoninach zostało już naprawdę niewiele czasu. Pazerni cinkciarze upychają go spiesznie do słoików po dżemie. A ja stoję tu sam, niczym kutas w poziomkach, i mieszam w szarej substancji.

Nie mam pojęcia o: pisaniu, komputerach, pieniądzech, miłości, szczerości, zaufaniu, przyjaźni. I im dłużej żyję, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to wszystko jest chorału warte.

Ja sztukę czuję wąpiami. Z jelit zrobiłem harfę i trącam w jej gruzelki. Ku waszej satysfakcji! Ku swojej wpycham ociekające wazeliną paluchy do gardeł krytyków i czekam odzewu zwrotnego a że leję na to wszystko, krzyczę, niech mocz będzie z wami!

Niepocieszony, zaszczuty, skopany owijam się w całun mych partytur i idę do Muzeum, zalec pod Stainwayem. Może i mnie, kiedyś, naprawią...

### Hooykoo

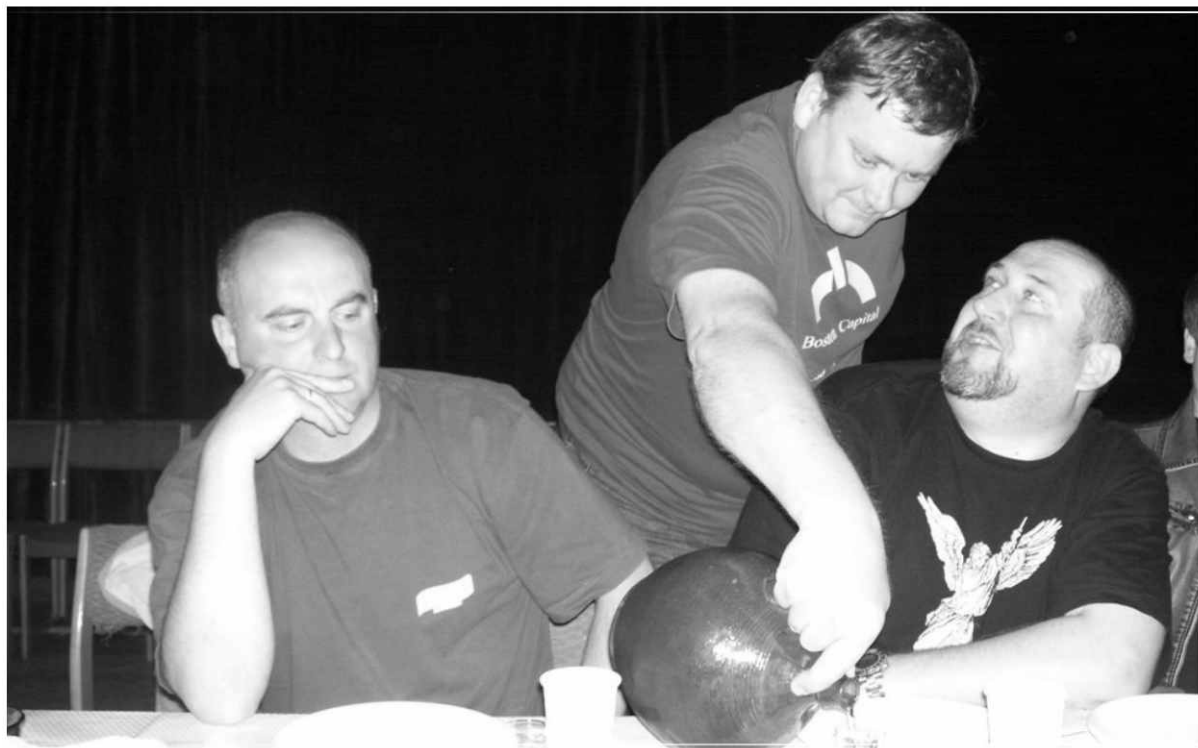
Nie wiedzieć czemu, zawsze kiedy ciocia krzyczała do mych sióstr:

- Dziewczyнки, wstawać! Idźcie się myć.

Jako pierwszy podrywałem się z łóżka...

A potem były już „Chmielaki” - chmiel, rock, piwo, rozstania, powroty i szalet moralny. Całkiem jak ten w parku, przy którym rośnie owo „tajemnicze” drzewo numer 44. A wiecie, czemu ono zawdzięcza swój nietypowy kształt? Pokoleniom tych wszystkich, którzy właśnie w trakcie „Chmielaków” doświadczali alkoholowej inicjacji i wsparci o jego pień, powtarzali po wielokroć znaną mantrę: O kurwa, już nigdy nie będę!

Za rok robiło się oczywiście to samo, tylko gdzie indziej. Pod mostem, na Jezuickiej, w fontannie, na schodach ratusza...



Henryk Radej



WOJCIECH SZMIGON

## Od czasu do czasu

od czasu do czasu  
odwiedź mnie  
bez zobowiązań  
męża, dzieci i zdrowej diety

zadaj się ze mną  
wyrafinowaniem szpilek Błahnik'a  
pończochami na poręczu krzesła

gdy zechcesz odejść  
wyjdź szybko i dyskretnie  
bez przytulenia

## na granicy parkingu

na granicy parkingu długiego postoju  
spotkasz młode kobiety idące od zachodu  
ofiarują ci opowieść o zbawieniu w zamian  
za taktowną kontemplację myśli Boga

będą szeptać na przemian miękkimi  
pełnymi  
wargami kurtyzan słowa Jehowy zastępów  
zapropnują odpowiedź na każde pytanie  
nikt nie śmie wątpić w Pismo

śmiało przemilczą ostatnie manifestacje  
mniejszości  
historię Darwina i wizje świata po  
barbituranach  
nie dojrzej nic oprócz tęsknot

zabłąkany szczerze oznajmisz że spotkały  
demona  
spojrzeniem powiedziesz ich zmysły na  
pokuszenie  
w bezgraniczną niezależność wypieranych  
pragnień  
przez żądze ból tęsknotę i samotność

odejdą skalane zbliżeniem z brudem siły  
nieczystej  
zasną zaspokojone i brzemiennie

## Odzyskując kamienne mosty

Wschodnie zakątki prowincji przydają  
nowożytnym kolonom obaw  
W mulistym dnie nikczemnych osadów  
urzekają kamienne mosty  
Pozostawione przez zapomniane duchy w  
krajobrazach serdecznych

*Matkę przewożę dwa razy do roku z miasta do  
rodzinnej wsi*

*Na groby bliskich pominiętych przy społecznych  
przemianach*

*Od tak dawna jest w drodze do niezaoranego  
obszaru nieba*

Otulony wilgocią dymu porannych mgieł  
trzciniak głosem ruczaju  
Zaprasza na cichość pośród rozlewisk w  
głęb gestych trzciniowisk  
W płataninie strug i przesmyków ucieczka  
zadumą wyczekiwania

*Dziadek oszczędł nie mając okazji być  
okaleczonym w wojnie*

*Milczał chłopom zamiejscowym utrwalaczom  
władzy ludowej*

*Żniwując nie zakłócał spokoju obcych klasowo  
puszczyków*

Nie opisze nic zapachu tataraku  
zatopionego ciszą sierpniowego słońca  
Za zielononóżką wydziobującą z sumienia  
ziarna mieszczańskiej kultury  
Rozkładam ramiona do lotu ponad  
mostem tęsknym kamiennymi łukami





KRYSTYNA KARWAT

## TRYPTYK Z PŁACZĄCĄ GITARĄ

### 1. Płacząca gitara

Tarcza słoneczna triumfalnie jaśnieje na niebie, syjąc złotymi strużkami światła. Z Ratusza spływa na miasto hejnał. Głos trąbki przenika mury kościoła św. Ducha, by w modlitewnym tonie przyklęknąć przed Ukrzyżowanym. Dźwięki hejnału radośnie spadają na Bramę Krakowską, biegną między kamieniczkami Starego Miasta, wrywają się, by dotknąć rozległej bryły Zamku na wzgórzu. Po chwili wracają ze zwielokrotnioną mocą, by spacerkiem, pod rękę z przechodniami iść Krakowskim Przedmieściem, wmieszać się w gwarny świat.

Zasłuchana w południową mowę miasta podążam niespiesznie przed siebie. Nagle słyszę dźwięki gitary, powietrze napętnia się tenorowym śpiewem, który przenika do dna mojej duszy. Dźwięczny, liryczny głos, wrażliwy jak harfa eolska, budzi w sercu dziwne drżenia, jakąś rzewną tęsknicę. Jakby pozdrowiał mnie śpiewem niespodziewany potomek celtyckich bardów, mistrzów ballady. Ach, uliczny śpiewak czaruje ukraińskimi dumkami!

Słucham z bijącym sercem. Zda się, jestem czarnobrewą, ciemnooką dziewczyną. Biegnę witać wiosnę u stóp strojnej w zieleń kaliny... Czekam na swego miłego. Dlaczego nie zjawia się? Podarować serce chciałam. „Oj, ne ma, oj, ne ma, oj ne bude” ...

Rzewliwy śpiew... Brzemie smutku... Znow dążę, gdzie gąszcz kaliny, zakwitającej słodką wonią kwiatów. „A miłoho ne ma” ... Powędrował w daleką drogę. „Praszczaj sieło” ... Tęskni za synem „nezradliwa” macierzyńska, łaskawa miłość. Skarży się: „Ja tiebie czekała” ... Może przemierzasz bezkresny, dziki step? Suchy wiatr stepowy owiewa młodą twarz Kozaka, Kozaczeńka...

Melodia snuje się jak błędny ognik po stepie...

Ej, Wołodia, czarodzieju z Żytomierza!...

Pieśniarzu kresowy o smagłej twarzy matejkowskiego Anioła grającego na cytrze, śpiewaj na przekór ułomnościom tego świata.

Melodią – owianą tchnieniem odwiecznych prawd o człowieku – prowadź przez życia rubieże – nutą tęsknoty, nadziei i miłości.

Graj, graj, „płakuczka gitaro!” ...

### 2. Wyśpiewać życie

Miękki, przejmujący głos Wołodii niesie się echem po ulicach Lublina. Zapada w ciemne bramy, pieści mury kamienic, wznosi się do uchylonych połyskujących w słońcu okien, tu i ówdzie wdziera się do wnętrza domów, napętnia je wzruszeniem. Łka gitara, to znow wybuchą nutą melancholijnej radości.

Dokąd biegiesz, żytomierski bardzie? Gdzie wiedzie cię ukraińska dumka?

Wyśpiewujesz swoje życie...

Oto wesoły, skłonny do zadumy chłopiec biegnie nad rzeką Teterew. Brodzisz jej płycizną, rozpryskujesz srebrzyste krople wody, śmiejesz się albo pochylony nad lustrem rzeki wypatrujesz swojej złotej rybki. Może śnisz o niezwykłych podróżach, dalekich krajach, cudach świata? A może przemierzasz szeroki step z bujną roślinnością, wdychasz słodko-gorzki zapach stepowych ziół...

Ech, dusza w tobie śpiewna!... W cytrynowo-żółtych ścianach i białej dekoracji architektonicznej soboru pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w środku Żytomierza słyszysz muzyczne echa dramatycznych scen – oto runęła dzwonnica, zniszczony sobór. W kilkanaście lat potem zabrzmią triumfalne dźwięki towarzyszące odbudowie – słyszysz je... Wyśpiewujesz historię Żytomierza, Rusi Kijowskiej i śladów polskości na tej ziemi z kościołem pod wezwaniem św. Jana z Dukli, klasztorem Bernardynów, starą katedrą, Patetyczny koncert grają ci, żytomierski bardzie...

Nieś go w świat!

### 3. Europejskim szlakiem

Są ptaki wędrowne – przelotne, powrotne...

Wędrują ryby do miejsc, gdzie rodzą szczęśliwie swoje potomstwo. Planety szukają dla siebie nowych przestrzeni w kosmosie. Nawet kurhany, zasy i wydmy ulegają pokusom wiatru, by przesuwać się miejsca na miejsce. W człowieku drzemie natura pielgrzymia. Od wieków trwa nasze pielgrzymowanie.

Pieśniarzu żytomierski, jesteś jak ptak gotowy do lotu. Co cię tak gna? Jakie szlaki ci grają? Jaką pieśnią je witasz? Dziś Lublin, jutro miasto Kopernika, a wkrótce królewski Kraków... Płacze twoja gitara,

śpiewasz światu pieśni swej duszy targanej niepokojem własnego narodu, niepewnością jutra, nade wszystko jednak odkrywasz urodę i bogactwo człowieczej natury.

Graj gitaro, śpiewaj, Wołodia, ludziom na radość, sobie na chwałę. Miejsca dość wszędzie dla ulicznych bardów.

Wędrowne szlaki Europy przed tobą. Dom może stać tu i tam, jeśli w nim wielkie serca, prawda, mądrość i przyjaźń.

Pieśniarzu żytomierski, wysłanniku piękna, nieś swoją pieśń. Niech brzmi gitara, niech twój śpiew płynie po wędrownych szlakach. Niech zadrzą serca, a dusze przepełni radość istnienia, życia.



PRZEMYSŁAW KULIŃSKI

#### Limeryk

Wracamy z pól gorzkiej Troi,  
zdrapawszy naskórek z omszałej dłoni.  
Pytamy: któż wiedział,  
że spartański ideał  
to mit zmarłych? Nam ran nie zgoi.

#### Gwiazda

Bądź mi  
jak purpurowa gwiazda Chrystusa  
rzuciona na niebo apostołów.

Bądź mi  
na śmierć wymyślną  
i zaklinaj na świt  
kiedy przyjdzie po trzykroć zaprzec się  
ciebie jak serca przebitego włócznią.

Krzyżuj  
za każdy dzień jak ropniak  
co przeżera ciało  
w pięcioramienną gwiazdę ran.

#### "Kto kocha, ten jest z drugiej strony"

Rozcięty naskórek powietrza  
wypełniam Twoim posmakiem.

Więc czuję - ciało to jest  
oddech jak puls  
w nadgarstku.

Więc odgaduję -  
to za szybą  
to jest czarna dziura  
odrywa powietrze  
jak opatrunek z rany.

Broczysz miesięczną  
krwią.

Znaczy: ból.

Znaczy: jesteś.

Wobec Ciebie się sprawdzam.

Znaczy: miłość  
jak ciepła krew.



JOANNA ZAKRZEWSKA

## AUTOPORTRET. TAKA PIĘKNA EROTYKA

### Autoportret

Stoję przy jasnooświetlonym oknie, unosząc wysoko w dłoni swoje zdjęcie. Swoje prawdziwe zdjęcie... Tak wyglądam naprawdę.

Bo to, że mam oczy niebieskie i gładką skórę tak naprawdę wcale nie ma znaczenia.

Mówi się, że każdy człowiek jest niezwykle, niepowtarzalny, bo taki właśnie jest układ jego rysów czy wykrój ust. Dlatego dumnie obnosimy tą swoją fałszywą twarz, w którą jednak bezczelnie śmieje się nam natura. Bo tak naprawdę wszyscy jesteśmy bardzo do siebie podobni, dla niewprawnego oka niemal nierozróżnialni.

I to właśnie uświadamia mi moje ostatnie zdjęcie portretowe. Bardzo wyraźnie i chłodno mówi mi, że kiedyś zniknie to, co teraz odróżnia mnie od innych. Moje

niebieskie oczy, które teraz z radością obserwują wiosenną, żółtozieloną poświatę wokół drzew, zapomną kiedyś tak o tym widoku, jak i o milionach innych. Rozpłyną się, zgniją... Moja skóra na trwale przyschnie do policzków, zniknie delikatna mięsistość i czerwień warg. Mózg, który jest mi przyjacielem i dumą, który wraz ze mną intensywnie przeżywa każdą chwilę i pomaga mi teraz zapisywać te słowa, stanie się kiedyś bezkształtną mazią.

Zdjęcie daje mi przedsmak mojej wieczności, którą, w swojej arogancji, odsuwam w nigdy nie mający nadejść dla mnie czas. Podobno zdjęcie Roentgena to tylko zatrzymane w ruchu elektrony... Paradoks. Te niewyobrażalnie małe części atomu pomagają nam zobaczyć to, co po nas zostanie...



Spoglądam na swój prawdziwy portret.  
 Złowieszcze, puste, lecz jak wymowne  
 oczodoły, dramatycznie rozwarłe szczęki  
 i... krzywa przegroda nosowa, której na  
 mojej żyjącej twarzy tak naprawdę nie  
 widać...

## Taka piękna erotyka

- Pozwól mi - prosił przyciszonym głosem.  
 Pozwól...
- Światło małej świeczki nienachalnie wydo-  
 bywało z mroku jej drobniutką twarz,  
 cieniuąc każde wgłębienie i każdy, nawet  
 najmniejszy grymas. Podsunął się więc  
 jeszcze bliżej i, zamknawszy oczy, deli-  
 katnie przyłożył palce do jej głowy. Nie  
 cofnęła jej, a przeciwnie, poddała się nieco  
 na przód tak, aby opuszki jego palców  
 mogły zwiedzić, milimetr po milimetrze,  
 owal jej twarzy. Potem przechyliła głowę  
 na bok tak, aby mogli razem odkryć  
 istnienie tej przedziwnej linii, biegnącej od  
 małego wgłębienia za płatkami ucha, aż po  
 obojczyk. Linia życia, bo pulsująca krwią,  
 obietnicą, życiem właśnie.
- Pozwól... - zaszeptał znów i, czując ciągle  
 napięcie jej mięśni, mocno przytulił ją do  
 siebie. Jesteś piękna. Taka piękna...
- Słuchała jego słów ze ściągniętymi brwiami i  
 wypisaną na twarzy jakąś dziwną walką.  
 Nierówną walką, gdyż ciało zaczynało już  
 brać górę nad rozsądkiem, nad strachem i  
 nad wstydem. Zaczynało brać górę nad  
 tym wszystkim, z czym walczyła od lat, od  
 momentu, w którym pierwszy raz,  
 boleśnie, uświadomiła sobie swoje ciało.
- Może byłoby lepiej, gdyby nigdy nie  
 rozwinęły się jej piersi, gdyby to magiczne  
 miejsce w samym dole brzucha nie zaczęło  
 żyć własnym, wymagającym życiem. To  
 słodko i zarazem niepokojąco pulsujące  
 centrum jej ciała, przypominało się coraz  
 natarczywiej, coraz częściej...
- Chcę patrzeć... - w jej myśli wdarł się jego  
 głos. Chcę na ciebie patrzeć, słyszysz?  
 Pozwól mi...
- Tyle było prośby w jego wzroku, tyle miłości,  
 że podsunęła się znów bliżej ku niemu,  
 usiłując przełamać swój strach przed  
 prawdą, przed prawdą, która za chwilę stać

się też miała jego udziałem. Pozwoli  
 rozpuściła włosy, a potem uniosła ramiona  
 do góry, pomagając mu zdjąć z siebie  
 oliwkowy sweter. Włosy opadły na jej  
 półnagie ciało, nieświadomie obdarzając ją  
 obiecującą pieszczotą, do której dołączyły  
 się, jeszcze nieśmiało lecz wiedzione już  
 instynktem, męskie dłonie. Wyrysowywał  
 ją teraz przed sobą oczami i wylawiał  
 rozmyte świecą kontury jej ciała  
 opuszkami palców. Wizualizował tę  
 chwilę tysiące razy, ale dopiero teraz stała  
 się ona najprawdziwszą treścią. Delikatne  
 żebra, doskonałe, drobne piersi i to miejsce,  
 którego do tej pory nie umiał sobie  
 wyobrazić. Miejsce, w którym przewężenie  
 talii szybowало łagodnym łukiem ku  
 idealnej krzywiznie prawego biodra...

Potem drugą dłonią szukał takiego samego  
 miękkiego miejsca po drugiej stronie, ale  
 tym razem jego palce nie zagłębiły się w  
 ciepłej delikatności ciała, nie znalazły owej  
 rozkosznej krągłości drugiego biodra.  
 Natrafiły tylko na jakiś dziwny fragment  
 skóry, to gładki, to poprzecinany łyko-  
 watymi ścięgnami. Jego palce na moment  
 zamarły, a ona spięła się do granic mo-  
 żliwości i zwinęła w ciasny kłębuszek,  
 kryjąc się pod oplatającymi ją włosami. Nie  
 rozluźniała się nawet wtedy, gdy jego  
 palce znów podjęły przerwana wędrowkę  
 po jej okaleczonym i świadomym swej  
 ułomności ciele.

- Przecież ja to wszystko wiem. Od dawna  
 wiem... - powiedział tylko z prostotą, nie  
 usiłując jej niczego tłumaczyć ani o nic nie  
 pytać.

A potem, gdy leżała już przy nim całkiem  
 naga, przytulił twarz do jej okaleczonego,  
 pozbawionego kobiecości biodra i do tego  
 posiatkowanego pajęczyną blizn,  
 nienaturalnie chudego uda i powiedział:

- Jesteś doskonała...

